

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Gustaw Flaubert

**LEGENDA O ŚWIĘTYM
JULIANIE SZPITALNIKU**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Ojciec i matka Juliana zamieszkiwali zamek wśród lasu, na stoku wzgórza.

Cztery narożne wieże miały spiczaste dachy z ołowianych łusek i podwaliny murów wspierały się na stopniach skalnych, opadających stromo aż do dna fosy.

Płaskie kamienie, którymi był wyłożony dziedziniec, lśniły od czystości, jak posadzka w kościele. Nachylone głowy smoków, którymi kończyły się rynny, wypływały deszczówkę do cysterny, a gzymsy okien na wszystkich piętrach zdobiły kolorowe doniczki, pełne kwitnących bławatków i heliotropów.

Dalej ogrodzenie, zrobione z zastrzonych pali, zamykało sad, ogród, na którego klombach układano kwiaty w monogramy, szpalery winogrodu, gdzie w lecie zawsze można było zażywać chłodu, wreszcie placyk do gry w kręgle, ulubionej rozrywki paziów. Po drugiej stronie zamku była psiarnia, stajnie, piekarnia, tłocznia i spichrze. Wszystko otaczał szeroki pas łąki przeznaczonej na pastwisko, zamkniętej gęstym i kolczastym żywopłotem.

Pokój panował tutaj od tak dawna, że nikt nie spuszczał kolczastej kraty wiszącej nad bramą, a w rowach stała woda; jaskółki lepiły gniazda w otworach strzelnic, a łucznik, który przez cały dzień czuwał na wałach chodząc tam i z powrotem, gdy tylko słońce przygrzało zbyt silnie, chował się do wieżyczki i zasypiał jak mnich.

Wewnątrz błyszczały wszędzie żelazne okucia, kobierce w komnatach chroniły przed zimą, szafy były wypełnione przyodziewkiem, beczki wina piętrzyły się w lochach, dębowe kufry trzeszczały od ciężaru worów srebra.

W zbrojowni, wśród sztandarów i łbów dzikich zwierząt, wisiała broń wszystkich narodów i epok: od proc Amalekitów i włóczni Garamantów aż do ciężkich saraceńskich mieczy i drucianych koszulek Normanów.

Na największym rożnie w kuchni można było obracać wołu, bogatego sprzętu kaplicy nie powstydziliby się rodzina królewska. Była nawet w odosobnionym miejscu łaźnia rzymska, z której jednak pan zamku nie korzystał, poczytując ją za pogański wynalazek.

Utulony zawsze w pelerynę podbitą lisami, przechadzał się po zamku, rozsądzał sprawy wasalów, godził zwaśnionych sąsiadów. W zimie przyglądał się spadającym płatkom śniegu albo kazał czytać sobie głośno opowieści. Z nastaniem cieplejszych dni ruszał w objazd włóści. Kierował muła polnymi drogami, brzegiem zieleniejących ozimin, gawędził z poddanymi i udzielał im rad. Po wielu przygodach poślubił pannę z wysokiego rodu.

Była bardzo biała, w miarę dumna i poważna. Czepiec, który zwykle kładła, zawadzał czubami o górną framugę drzwi, tren sukni ciągnął się o trzy stopy za nią. Poddała regułom klasztornej służby: każdego ranka rozdzielała pracę pannom respektownym, czuwała nad smażeniem konfitur i przyrządzaniem pachnidła, przędła lub haftowała obrusy na ołtarz. Ponieważ modliła się gorliwie, Bóg dał jej syna.

Wtedy zapanowała wielka radość i wydano ucztę, która trwała trzy dni i cztery noce. Biesiadowano przy świetle pochodni, dźwięku harf i na posłaniach z liści i kwiatów. Podano kury tłuste jak barany, przyprawione najrzadszymi korzeniami; ku wielkiej uciechu gości karzeł wyszedł z olbrzymiego pasztetu; a kiedy tłum biesiadników wzrósł tak dalece, że nie starczyło kielichów, pito z hełmów i rogów.

Młodej matki nie było na uroczystościach. Leżała spokojnie w łożu. Obudziwszy się z wieczora, zobaczyła w promieniach księżyca, które wpadały przez okno, poruszający się cień. Był to starzec o wyglądzie pustelnika, w habitie z włosiennicy, z różańcem u pasa i torbą przewieszoną przez ramię. Zbliżył się do wezgłowia i rzekł nie rozchylając warg:

– Raduj się, matko! Twój syn zostanie świętym!

Krzyknęła, lecz on, sunąc po smudze światła, uniósł się spokojnie w powietrze i znikł. Śpiewy uczujących doleciały wyraźniej. Usłyszała głosy aniołów i głowa jej opadła na poduszkę, nad którą wisiała kość męczennika w relikwiarzu wysadzonym diamentami.

Służący zapytywani nazajutrz oświadczyli, że nie widzieli pustelnika. Sen czy jawa, musiał to być znak z nieba. Ale strzegła się, ażeby nie zdradzić nikomu tajemnicy, gdyż pomówiono by ją o pychę.

Goście rozjechali się o świcie i ojciec Juliana stał przed furtką, do której odprowadził najbardziej zapóźnionych, kiedy nagle z mgieł wyrósł przed nim żebrak. Był to Cygan o płonących źrenicach. Brodę miał splecioną w warkoczyki, a na nagich ramionach brzęczały srebrne bransolety. W natchnieniu jakby wybełkotał kilka słów bez związku;

– Ach, ach, twój syn!... dużo krwi!... wielka sława!... wiecznie szczęśliwy... ród cesarski!...

I schyliwszy się, aby podnieść jałmużnę, zapadł pod ziemię albo rozwiął się w powietrzu.

Zacny kasztelan rozejrzał się w prawo i w lewo, zawołał, ile tylko miał sił. Nie było nikogo! Wiatr świstał i rozganiał mgły poranne.

Przypisał ów majak zmęczeniu po nie przespanych nocach. „Jeśli opowiem o tym, wyśmieją mnie” – powiedział sobie. Jednak myśli o wspaniałej przyszłości syna olśniewały go, mimo że obietnica była niejasna i wątpił chwilami, czy słyszał ją na pewno.

Małżonkowie nie wyjawili sobie sekretu. Oboje kochali chłopczyka równą miłością i uważając, że Bóg go nazaczył, mieli o niego szczególne i nie kończące się nigdy starania. Sypiał w łóżeczku wysłanym najmięszym puchem, lampa o kształcie gołębicy paliła się nieustannie nad posłaniem dziecka i kołysały je trzy mamki. Mocno zawinięte w pieluchy, z różową buzią i niebieskimi oczami, w płaszczyku z brokatu i czepku ciężkim od pereł, było podobne do małego Jezuska. Zęby wyrosły mu tak szybko, że nawet nie zdążyło zapłakać. Kiedy Julian miał siedem lat, matka nauczyła go śpiewać. Ażeby zawczasu zaprawiać go do rzemiosła rycerskiego, ojciec sadzał go na wielkim koniu, chłopiec śmiał się radośnie i prędko nauczył się kierować wierzchowcem.

Stary, bardzo uczony mnich zapoznał go z Pismem świętym, cyframi arabskimi, literami łacińskimi i nauczył malować piękne obrazki na welinie. Pracowali razem w komnacie na szczycie wieży, z dala od hałasu.

Po skończonej lekcji schodzili do ogrodu i tam przechadzali się studiując budowę kwiatów.

Czasami z głębi doliny wysuwał się rząd jucnych zwierząt, obok których szedł człowiek w szatach wschodnich. Kasztelan, widząc kupca, wysyłał po niego pachółka. Cudzoziemiec okazywał zaufanie i zbaczał z drogi; wprowadzony do sali przyjęć wydobywał z kufrów sztuki jedwabiu i aksamitu, wyroby złotnicze, pachnidła, przedmioty dziwaczne i nieznanego przeznaczenia; wreszcie odchodził, zarobiwszy dobrze i nie doznawszy żadnej krzywdy. Innym razem grupa pielgrzymów stukała do bramy. Przemoczone szaty dymiały przed ogniskiem. Kiedy się najedli, opowiadali o swoich podróżach: zbłąkane nawy na spienionym morzu, wędrówki przez rozpalone piaski, okrucieństwa pogan, jaskinie w Syrii, Żłobek i Święty Grób... Potem odczepiali przytwierdzone do opończ muszle i obdarowywali młodego pana.

Czasami kasztelan gościł dawnych towarzyszy broni. Wspominano przy kielichu wojny, szturm do fortec, zdobywanie maszyn oblężniczych i liczne rany. Julian przysłuchiwał się z boku i wydawał okrzyki zapały. Wtedy ojciec nie wątpił, że syn zostanie zdobywcą. Ale wieczorem, gdy odmówiwszy Anioł Pański przechodził obok schylonych kornie biedaków, sięgał do sakiewki ruchem tak skromnym i godnym, że matka oczyma wyobraźni widziała go na tronie arcybiskupim.

Miejsce w kaplicy miał obok rodziców. Klęczał przez cały czas najdłuższych nawet nabożeństw, Toczek kładł na ziemi, ręce trzymał złożone.

Pewnego dnia spostrzegł na mszy, podniósłszy nagle wzrok, białą myszkę, która wyszła przez otwór w murze. Podreptała na pierwszy stopień ołtarza i pokręciwszy się trochę to w prawo, to w lewo, uciekła drogą, którą przyszła. Następnej niedzieli niepokoiła go myśl, że może zobaczyć ją znowu. Wróciła. Od tej pory czekał na mysz w każdą niedzielę, przeskądzała mu, wreszcie znienawidził ją i postanowił od niej się uwolnić. Zamknąwszy drzwi rozsiał na schodach ołtarza okruchy ciasta i zaczął się z kijkiem w ręce. Po bardzo długiej chwili ukazał się różowy pyszczyk, a za nim cała mysz. Uderzył ją niezbyt mocno i osłupiał nad zwierzątkiem, które nie drgnęło więcej. Kropla krwi splamiła posadzkę. Starł ją szybko rękawem, wyrzucił mysz przez okno i nie opowiedział nikomu o tym zdarzeniu.

Ptaszki wszelkiego rodzaju dziobały ziarna w ogrodzie. Wpadł na pomysł, żeby nasypać grochu do pustej wewnątrz trzciny. Kiedy usłyszał świergot na drzewie, podchodził cicho, przykładał rurkę do ust, nadymał policzki, a ptactwo jak deszcz, spadało mu na ramiona w takiej obfitości, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu, rad z figla.

Pewnego ranka, mijając wał, zobaczył na grzbiecie szańca wielkiego gołębia, puszącego się w promieniach słońca. Przystanął, żeby popatrzeć. Mur był w tym miejscu wyszczerbiony i kamień sam podsunął się chłopcu pod rękę. Wystarczył ruch ramienia i ptak spadł ciężko do fosy.

Julian zbiegł pędem na dół, kalecząc się o krzaki, szukając wokół, zwinniejszy niż młody pies.

Gołąb ze złamanymi skrzydłami szamotał się zaplątany w gałęzie ligustru.

Upór, z jakim tkwiło w nim życie, rozżościł chłopaka. Zaczął go dusić. Drgawki ptaka przyspieszyły rytm serca Juliana, napełniły je dziką i kłębiącą się rozkoszą. Gdy gołąb wyprzył się po raz ostatni, malec doznał zawrotu głowy.

Podczas wieczery ojciec oznajmił mu, że dorósł do lat, w których należy uczyć się myślistwa; poszukał starego zeszytu, zawierającego traktat o łowiectwie, ujęty w pytania i odpowiedzi. Mistrz wpajał w ucznia sztukę układania psów; i osławiania sokołów, zakładania sideł, tropienia jeleni w czasie rykowiska; jak poznać trop – lisa, ślady, które kły wilka zostawiają na korze drzew, dobry sposób odróżniania duktów, jak należy szczuć, gdzie szukać kóz, jakie wiatry są najbardziej sprzyjające. Na koniec autor wyliczał nawoływania i zasady odprawy dla psów.

Kiedy Julian umiał już wszystko na pamięć, ojciec podarował mu sfore.

Były tam przede wszystkim dwadzieścia cztery charty berberyjskie, szybsze niż gazy. Miały tę wadę, że rozszalałe w pogoni często pędziły na oślep. Następnie siedemnaście par psów bretońskich, o sierści rdzawej w białe cętki, szerokich w piersi, niezłomnie wiernych i znakomitych wyjców. Zadaniem czterdziestu gryfonów włochatych jak niedźwiedzie było otaczanie dzika i przeszkadzanie mu w stosowaniu niebezpiecznych podstępów. Brytany tatarskie koloru ognia, o szerokim grzbiecie, prostych nogach, prawie tak wielkie – jak osły, miały gonić za turem. Sierść czarnych spanieli lśniła jak atlas. W osobnym ogrodzeniu warczało szarpiąc się na łańcuchu i łypiąc ślepiami osiem płowych dogów, bestii groźnych, które skaczą jeźdźcom do piersi i nie boją się lwa. Wszystkie dostawały pszenny chleb, piły z kamiennego koryta i nosiły dzwięczne imiona.

Kto wie, czy sokolarnia nie była jeszcze piękniejsza od psiarni. Pan zamku sprowadził nie szczędząc grosza sokoły z Kaukazu, rarogi z Babilonu, białozory z Niemiec i sokoły wędrownie, chwywane w dalekich krajach na urwistych brzegach zimnych mórz. Ptaki mieszkwały w szopie krytej słomą i uwiązane podług wzrostu na żerdzi miały przed sobą kępy darni, na których sadzano je od czasu do czasu, żeby mogły rozprostować skrzydła.

Torby, haki, pułapki, wszystkie rodzaje myśliwskich przyborów leżały w pogotowiu.

Często prowadzano w pole setery, które zaraz wystawiały zwierzynę. Wtedy dojeżdżacze, zbliżając się krok za krokiem, rozpościerali ostrożnie siatkę na znieruchomiałych ciałach psów. Na dany sygnał rozlegało się szczekanie. Spłoszone przepiórki podrywały się, a damy z okolicznych zamków, ich mężowie, dzieci, służba, wszyscy rzucali się i chwyтали ptaki rękami.

Innym razem walono w bęben, żeby wypłoszyć zająca. Lisy wpadały w pułapkę albo po trzask więził nogi wilków.

Julian gardził tymi łatwymi sposobami. Wolał polować z dala od świata, na koniu i z sołosem. Towarzyszył mu zawsze wielki raróg scytyjski, biały jak śnieg. Miał skórzany kaptur ozdobiony pióropuszem, złote dzwoneczki pobrzękiwały mu u błękitnych łap. Siedział mocno na ramieniu pana, który jechał galopem, a wokół roztaczały się łąny. Julian rozluźniając lonżę wypuszczał go nagle. Śmiały ptak wznosił się w powietrze prosto jak strzała. Widać było, jak dwie nierównej wielkości plamy krążyły, łączyły się, wreszcie nikły w głębinach lazuru. Sokół ukazywał się po chwili i rozdarłszy jakiegoś ptaka siadał na rękawicy. Skrzydła mu drżały.

W ten sposób Julian ścigał czaple, kanie, wrony i sępy.

Lubił, grając na trąbce, cwałować za psami, które gnały po stokach pagórków, przeskakiwały strumienie i zawracały do lasu; kiedy jelenź zaczynał jęczeć pod ukąszeniami, dobijał go zręcznie, ćwiartował i rozkoszował się wściekłością ogarów, rwących na sztuki kawały mięsa, rozłożone na dymiącej jeszcze skórze.

W mgliste dni zapuszczał się na mokradła; tropił tam dzikie gęsi, wydry i młode kaczki.

Trzech koniuszych oczekiwało go od świtu przy drzwiach wejściowych; i stary mnich wychylając się przez okienko na próżno starał się znakami przywołać chłopca. Julian nawet nie spojrzał. Jechał zarówno w deszcz, jak w skwar i burzę, pił ręką wodę źródlaną, jadł dzikie jabłka nie zsiadając z konia, odpoczywał pod dębem; wracał późną nocą, ochlapany krwią i błotem; we włosach miał pełno cierni i roztaczał odór, jaki wydają drapieżne bestie. Stał się jak one. Zapomniał o pocałunkach matki, obojętnie przyjmował jej pieśszczoty i zdawał się marzyć o sprawach głęboko utajonych.

Zabijał niedźwiedzie ciosem noża, tury toporem, oszczepem dziki; kiedyś nawet, uzbrojony tylko w kij, obronił się przed wilkami, które obgryzały trupy pod szubienicą.

Pewnego razu wyjechał wczesnym rankiem zimowym, jeszcze przed wschodem słońca, ubrany ciepło, z kuszą na ramieniu i pękiem strzał u siodła.

Ziemia dźwięczała pod miarowymi uderzeniami kopyt duńskiego ogiera, za którym biegly dwa jamniki. Do płaszcza przymarzały sopolki lodu i dał gwałtowny wiatr. Z jednej strony przejaśniło się już na widnokręgu i w bladej pomroce ukazały się króliki, kicające dokoła nory. Jamniki rzuciły się na nie i sprawnie zmiażdżyły im kręgosłupy.

Po chwili wjechał w las; na końcu gałęzi spał głuszec zdrętwiały z zimna, schowawszy głowę pod skrzydło.. Jednym zamachem miecza obciął mu nogi i nie schyliwszy się do ptaka pojechał dalej.

W trzy godziny później stanął na szczycie tak wysokiej góry, że niebo wydawało mu się tu prawie czarne. Przed nim skała, podobna do długiego muru, obniżała się zwisając nad przepaścią. Znad jej brzegu spoglądały w otchłań dwa dzikie kozły. Nie miał przy sobie strzał, gdyż konia zostawił niżej. Postanowił je podejść: nachylony, boso dotarł wreszcie do pierwszego z kozłów i wbił mu szylet w bok. Drugi, przerażony, dał susa w próżnię. Julian poskoczył, ażeby go ugodzić, lecz pośliznął się na prawej nodze, upadłszy na swoją ofiarę, z twarzą nad otchłanią, z rozkrzyżowanymi ramionami.

Zszedłszy w dolinę pojechał wzdłuż wierzb rosnących nad brzegiem rzeki. Żurawie lecące bardzo nisko krążyły mu nad głową. Pozabijał je uderzeniami bata, nie oszczędzwszy ani jednego. Tymczasem cieplejszy powiew stopił szrony, rozplynęły się szerokie płyty mgieł i wyjrzało słońce. Zobaczył, jak w oddali błysło zamarznięte jezioro, podobne do ołowianej

płyty. Na środku siedział bóbr o czarnym pysku, zwierzę nie znane dotychczas Julianowi: pomimo odległości zabił je; przystanął i zmartwił się, że nie może zabrać skóry.

Potem zniknął w alei ogromnych drzew, których wierzchołki tworzyły u wejścia do lasu jakby łuk triumfalny. Z zarośli wyskoczył kozioł, daniel przystanął na skrzyżowaniu dróg, borsuk wyszedł z nory, na polanie paw rozwinął ogon – i Julian pozabijał te wszystkie zwierzęta; ukazały się inne kozły, inne daniela, inne pawie, borsuki, tchórze, kosy, sójki, lisy, jeże, rysie, niezliczone ilości zwierząt, rosnące bez przerwy. Krążyły koło niego łagodnie, z niema prośbą w oczach. Ale myśliwy zabijał je bez wytchnienia to napinając kuszę, to dobywając miecza, to znowu kłując nożem. Nie myślał o niczym, nie zdawał sobie sprawy, co się nokoło dzieje. Nie wiedział, gdzie był i od jak dawna. Był na łowach, istniał dzięki mordowaniu, wszystko dokonywało się z łatwością, jakiej doznajemy niekiedy w snach. Zatrzymał go niezwykle widok. Dolinę okrągłą jak amfiteatr wypełniały jelenie. Stłoczone jedne przy drugich, grzały się własnymi oddechami, tworzącymi we mgle kłęby pary.

Nadzieja wielkiej rzezi ścisnęła Julianowi gardło na kilka minut. Zsiadł z konia, zakasał rękawy i zaczął strzelać.

Na świst pierwszej strzały wszystkie jelenie obejrzały się razem. W jednolitej dotąd masie potworzyły się luki, podniosły się głosy pełne skarg i w stadzie powstało zamieszanie.

Brzeg doliny był zbyt wysoko, żeby mogły go przeskoczyć. Miotaly się w pułapce, szukając wyjścia. Julian mierzył, szył strzałami, strzały leciały jak strugi ulewy. Oszalałe jelenie bodły się, stawały dęba, wskakiwały na siebie; ciała ich i rogi utworzyły szeroki pagór, przevalający się z miejsca na miejsce. Nareszcie wszystkie padły. Leżały na piasku z oślinionymi nozdrzami i powypuszczanymi wnętrzościami. Niektóre dyszały jeszcze, ale falowanie brzuchów stopniowo słabło. Potem znieruchomiały.

Noc zapadała. Za lasem niebo zwisało między gałęzmi, czerwone niby ogromna krwawa płachta.

Julian oparł się o drzewo. Rozszerzonymi oczami obejmował potworną rzeź, nie pojmując, jak mógł być jej sprawcą. Po drugiej stronie doliny, na skraju lasu, spostrzegł jelenia, łanię i jej małe.

Olbrzymi, czarny jelen miał szesnaście wieńców i białą brodę. Łania, jasna jak zeschnięte liście, skubała trawę, a nakrapiany jelonek nie wstrzymując chodu matki ssał wymię. Kusza warknęła raz jeszcze. Jelonek padł martwy. Wtedy matka patrząc w niebo zaryczała głęboko, rozdzierająca, po ludzku. Julian w ostatniej pasji powalił ją jednym ciosem w pierś.

Wielki jelen zobaczył go i skoczył. Julian posłał ostatnią strzałę. Utkwiła w środku czoła.

Wielki jelen jakby nie poczuł rany. Sadząc przez trupy zbliżał się wciąż, żeby runąć na cofającego się z niewypowiedzianym strachem Juliana i wypruć mu wnętrzości. Naraz cudowne zwierzę zatrzymało się. Z oczami płonącymi, dostojne jak patriarcha i najwyższy sędzia, przy wtórze dzwonu, który odezwał się z oddali, powtórzyło trzy razy:

– Przeklęty, przeklęty, przeklęty! Nadejdzie dzień, serce okrutne, w którym zamordujesz rodzzonego ojca i rodzoną matkę.

Zgiął kolana, zamknął spokojnie oczy i skonał Julian stanął osłupiały. Później przytłoczyło go niespodziewane znużenie. Niesmak i wielki smutek zawładnęły nim. Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał. Otaczające pustkowia zdawało się grozić tajemniczym niebezpieczeństwem. Gnany strachem popędził przez pola, wybrał pierwszą z brzegu ścieżkę i wkrótce stanął u bram zamku.

Spędził bezsenną noc. W drżącym świetle lampy wiszącej nad posłaniem jawił mu się ciągle wielki, czarny jelen. Wróżba nie dawała mu spokoju. Starał się z nią walczyć. „Nie, nie, nie, nie mogę ich zabić!” Potem myślał: „Gdyby jednak ogarnęła mnie taka chęć?!” I bał się, żeby diabeł mu jej nie zesłał.

Zrozpaczona matka modliła się przez trzy miesiące u jego wezgłowia. Ojciec, wzdychając ciężko, chodził tam i z powrotem po korytarzach. Wezwał najznakomitszych znachorów, któ-

rzy przepisali wiele lekarstw. Niemoc Juliana, powiadali, spowodował złowieszczy wiatr albo miłosne pożądanie. Ale wszystkie pytania młodzieniec zbywał milczeniem i potrzasał przecząco głową.

Siły mu powracały; przechadzał się po podwórku. Dobry ojciec i stary mnich podtrzymywali go z obu stron.

Kiedy zupełnie wyzdrowiał, poprzysiął sobie nigdy już nie wyruszyć na łowy.

Ojciec chcąc go uradować podarował mu wielki miecz saraceński, który wisiał na wysokim filarze w sali rycerskiej. Żeby go zdjąć, trzeba było przystawić drabinę. Julian wszedł na nią. Miecz, za ciężki, wypadł mu z ręki i spadając otarł się tak blisko o kasztelana, że przeciął mu oponkę. Julian myśląc, że zabił ojca, zemdłał.

Od tego czasu bał się broni. Błądł na widok nagiego żelaza. Ta słabość doprowadzała rodziców do rozpaczki.

Wreszcie stary mnich w imieniu Boga i honor przodków zaklął go, żeby wrócił do ćwiczeń, w których winien zaprawiać się szlachcic. Giermkowie zabawiali się co dzień rzucając oszczepem. Julian prześcignął ich bardzo prędko. Strącał szyjki butelek, łamał kury na wieżach i o sto kroków trafiał gwoździe, którymi były nabite drzwi.

W pewien letni wieczór, kiedy mgła zaciera wyraźne kontury przedmiotów, zobaczył siedząc w altanie parę białych skrzydeł, podlatujących tuż nad żywopłotem. Nie wątpiąc, że to bocian, cisnął oszczepem. Rozległ się rozdzierający krzyk.

Była to matka. Czepiec, przybrany w długie wstęgi, zawisł przybity do muru.

Julian uciekł z zamku i nigdy już nie wrócił.

II

Przystał do napotkanej bandy poszukiwaczy przygód.

Poznał głód, pragnienie, robactwo i choroby. Przywykł do zgiełku potyczek i do widoku konających. Ogorzał na wietrze. Pod ciężarem zbroi jego mięśnie nabrały twardości stali. A że górował nad innymi siłą, był odważny, powściągliwy i przebiegły, stanął wkrótce na czele całego oddziału. Szerokim ruchem miecza dawał żołnierzom znak do bitwy. Nocami, kołysany huraganem, wdzierał się po linach na mury fortec, płomyki ognia greckiego lizwały mu pancerz, z blanków leciała strugami kipiąca żywica i roztopiony ołów. Czasami kamień druzgotał mu puklerz. Mosty przeładowane ludźmi waliły się razem z nim. Tocząc młyńca czekaniem uwalniał się od konnych napastników. Wzywał do walki każdego, kto odważył się stawić mu czoło. Wiele razy myślano, że poległ.

Ponieważ stawał w obronie duchownych, wdów, sierot, a zwłaszcza starców, zawsze wychodził cało dzięki Boskiej opiece. Kiedy dostrzegł z daleka człowieka pochylonego wiekiem, wołał nań, żeby przyjrzeć się jego twarzy, tak jakby obawiał się zabić go przez pomyłkę.

Zbiegli niewolnicy, zbuntowani poddani, bastardi bez mienia, wszyscy nieustraszeni zaciągali się pod jego sztandary. Po niedługim czasie stworzył własną armię. Rosła. Stał się sławny. Zabiegano o jego względy.

Wspomagał po kolei delfina Francji i króla angielskiego, templariuszów z Jerozolimy, władcę Partów, negusa Abisynii i cesarza Kalkuty. Podbił Skandynawów pokrytych rybią łuską, Murzynów zbrojnych w okrągłe tarcze z hipopotamiej skóry, jeżdżących na rdzawych osłach, Indian koloru złota, wywijających ponad diademami szablami szerokimi i jaśniejszymi od luster. Pokonał troglodytów i ludożerców. Zwiedził kraje tak gorące, że włosy zapalały się same od słonecznego skwaru i gorzały jak pochodnie, i kraje tak mroźne, że ciało odrywało się od kości i spadało na ziemię; kraje tak mgliste, że ludzie, obok których przechodził, wyglądali jak widma.

Zagrożone w swoim istnieniu rzeczpospolite prosiły Juliana o radę. W rozmowach z ambasadorami uzyskiwał nadspodziewanie korzystne warunki. Jeśli któryś z monarchów rządził niesprawiedliwie, zjawiał się nagle, aby udzielić mu napomnienia. Dawał wolność ludom. Oswobadzał królowe zamknięte w wieżach. On to, a nie kto inny, zabił potwora z Mediolanu i smoka z Oberbirbach.

Pewnego razu cesarz Okcytanii, podbiwszy muzułmanów hiszpańskich, złączył się w konkubinacie z siostrą kalifa Kordoby. Spłodził z nią córkę, którą wychował po chrześcijańsku. Kalif, udając, że chce się nawrócić, zjechał w odwiedziny na czele dużego zastępu wojska. Wybiwszy do nogi załogę szwagra, uwięził go w lochu pod fosą i obchodził się z nim okrutnie, aby wydrzeć mu wszystkie skarby.

Julian przyszedł z pomocą. Rozbił wojska niewiernych, zabił kalifa i uciawszy mu głowę wyrzucił ją jak piłkę za mury zamku. Potem, uwolniwszy cesarza, przywrócił mu tron w obecności całego dworu.

Cesarz, wdzięczny za przysługę, kazał przynieść kosze pełne srebra. Julian nie spojrział na nie. Myśląc, że żąda więcej, ofiarował mu trzy czwarte swoich bogactw. Znowu spotkał się z odmową. Dołożył więc pół królestwa. Julian podziękował i nie przyjął. Cesarz o mało nie rozplakał się z żalu, bo już nie wiedział, w jaki sposób ma okazać wdzięczność. Nagle uderzył się w czoło i szepnął coś jednemu z dworzan. Rozsunęły się zasłony i ukazało się dziewczę.

Ogromne, czarne oczy błyszczały łagodnie jak przyćmione lampy. Wdzięczny uśmiech rozchyłał wargi. Pukle włosów zaczepiały o klejnoty, którymi miała naszytą rozchyloną szatę; pod przejrzystą tuniką, wzrok wyczuwał jędrność jej ciała. Była pełna czaru, pulchna, ale gibka w pasie.

Juliana oślepiła miłość tym silniej, że do tej pory żył wstrzemięźliwie.

Poślubił córkę cesarską, która otrzymała w wianie zamek po matce. Po skończonych uroczystościach weselnych rodzice rozstali się z dziećmi, czułym pożegnaniem nie było końca.

Pałac z białego marmuru, zbudowany w stylu mauretańskim, stał na pagórku w pomarańczowym gaju. Ogród kwiatowy opadał tarasami aż do zatoki, gdzie różowe muszle chrzęściły pod stopami. Z drugiej strony las rozpościerał się jak wachlarz. Niebo było bez przerwy błękitne, a drzewa chwiały się to od powiewu, który przynosiło morze, to znów pod wiatrem, który nadlatywał od gór zamykających daleki widnokrąg.

W mrocznych salach błyszczały inkrustacje. Wysokie kolumnienki, cienkie jak trzciny, podpierały kopulaste sklepienia, przybrane rzeźbami naśladowującymi stalaktyty.

W salach szemrały wodotryski, podwórka były wyłożone mozaiką, mury ozdobiono festonami; architektura była tu wymyślna i delikatna; wszędzie panowała taka cisza, że słyszało się szelest wstążki lub echo westchnienia.

Julian porzucił rzemiosło rycerskie. Spoczął, otoczony spokojnym ludem; co dzień przeciągał przed nim tłum, przyklękając i całując mu ręce, jak nakazywał obyczaj wschodni.

Odziany w purpurę lubił siadywać oparty o framugę okna, wspominając dawne łowy; wołałby przebiegać pustynię, goniąc za gazelą i strusiem; albo ukryty w bambusowym gaju czatować na leoparda, błądzić po lasach pełnych nosorożców, wspinać się na niezdobyte szczyty gór, skąd można łatwiej zabijać orły, lub na lodowcach morskich walczyć z białym niedźwiedziem.

Czasami we śnie widział się w raju pośród zwierząt, jak nasz praojciec Adam. Wyciągał ramię i kazał im umierać. Albo też szły pod jego okiem parami, według wzrostu, od słoni i lwów do gronostaja i kaczki, jak w dniu, gdy wchodziły do arki Noego. Zaczajony w jaskini, ciskał w nie oszczepem, nigdy nie chybiając. Przychodziły inne; bez końca; Julian budził się, rozglądając się nieprzytomnie i dziko.

Zaprzyjaźnieni książęta zapraszali go na łowy. Odmawiał zawsze, wierząc, że taki akt ofiary odwróci od niego nieszczęście; zdawało mu się, iż los jego rodziców jest związany z życiem zwierząt. Cierpiał też, będąc z dala od ojca i matki, i ta druga tęsknota stawała się nie do zniesienia.

Żeby go rozweselić, żona sprowadziła kuglarzy i tancerki. Noszono oboje w otwartej lektyce po polach; innym razem, pochyleni nad brzegiem łódki, przyglądali się rybom snującym się w wodzie czystej jak niebo; czasem obsypywała mu twarz kwiatami lub przysiadłszy u jego stóp grała na trzystrunowej mandolinie, a potem oplatając ręce wokół jego ramienia, pytała nieśmiało:

– Co ci jest, drogi panie mój?

Nie odpowiadał albo wybuchał szlochaniem; wreszcie pewnego dnia przyznał się do nękającej go myśli.

Starła się go przekonać, snując prawidłowe rozumowanie: rodzice jego pewno już umarli; a jeśli miałby ich kiedykolwiek ujrzeć, to jakim sposobem i w jakim celu miałby popełnić taką okropność? Obawy nie miały więc podstaw i mógł wrócić do łowów.

Julian uśmiechał się słuchając jej słów, **ale nie** mógł zdobyć się na zaspokojenie pragnień.

Sierpniowego wieczoru byli razem w sypialni. Ona już zasypiała, gdy nagle on, ukląkszy do modlitwy, usłyszał skomlenie lisa i lekkie kroki pod oknem. Zobaczył w mroku jakby cienie zwierząt. Pokusa była zbyt silna. Zdjął kołczan ze ściany.

Zdziwiła się.

– To dlatego, żeby ciebie usłuchać – odpowiedział. – Wrócę o wschodzie słońca.

Zatrwożyła się jednak, przeczuwszy jakąś straszną przygodę.

Uspokoił żonę i wyszedł, zdziwiony tą odmianą w jej usposobieniu.

W chwilę później zjawił się paź i oznajmił przybycie dwojga nieznajomych, którzy nie zostawiając pana zamku, pragnęli niezwłocznie widzieć się z panią. I zaraz do komnaty wszedł stary człowiek i stara kobieta. Zgarbieni, zakurzeni, ubrani w grube suknie, oparci na kijach.

Nabrali śmiałości oświadczywszy, że przynoszą Julianowi wiadomość o rodzicach.

Nachyliła się, żeby wysłuchać.

Porozumiawszy się spojrzeniem, zapytali, czy Julian kocha ich jeszcze i czy ich wspomina.

– O tak! – odpowiedziała.

– A więc to my jesteśmy rodzicami Juliana – rzekli i usiedli, bo byli bardzo zmęczeni.

Młoda pani chciała upewnić się, czy rzeczywiście byli rodzicami jej męża. Dali temu świadectwo, opisując znamiona, jakie miał na ciele. Wstała więc z posłania, przywołała pazię i rozkazała podać wieczerzę. Byli bardzo głodni, ale nie mogli nic przełknąć; widziała, spozierając ukradkiem, jak drżały im kościste ręce, gdy podnosili kubki do ust.

Zadawali tysiące pytań o syna. Odpowiadała na każde, bacząc, by nie zdradzić ponurych myśli, które go nękały.

Nie mogąc doczekać się powrotu Juliana opuścili swój zamek; wędrowali już wiele lat, kierując się niejasnymi wskazówkami i nie tracąc na chwilę nadziei. Trzeba było tyle pieniędzy na opłacenie przepraw na promie, pokoi w zajazdach, danin, które udzielni książęta nakładali na podróżnych, żądań opryszków, że dno ich kalety świeciło pustką i ostatnio szli o zebrany chleb. Ale to nie miało znaczenia, skoro za chwilę mieli uściskać syna. Uroda jego żony powiększała jeszcze ich radość. Nie mogli jej się nadziwić. Wpatrywali się w młodą kobietę i całowali ją bez przerwy.

Zdziwiły ich bogactwa pałacu. Starzec rozejrzawszy się po ścianach zapytał, czemu wiszą na nich tarcze herbowe cesarza Okcytanii.

– To był mój ojciec – odpowiedziała. Wtedy zadrżał, wspomniawszy wróżbę Cygana; a starszka myślała o słowach pustelnika. Była pewna, że doczesna sława jej syna jest tylko jutrzenką chwały wieczystej; i tak oboje siedzieli zadumani, w świetle kandelabrow, które padało na stół.

Musieli być bardzo piękni w młodości. Matka miała jeszcze bujne włosy, których pasma delikatne i białe jak śnieg przysłaniały policzki, a ojciec wysokim wzrostem i wspaniałą brodą przypominał figurę kościelną.

Żona Juliana prosiła, aby nie czekali dłużej. Pomogła im zdjąć szaty, ułożyła we własnym łóżu i sama zamknęła okno. Zasnęli. Dniało już na dworze i ptaki zaczynały świergotać.

Julian przeszedł park; krok jego był czujny. Idąc, radował się miękkością trawy i spokojem, jaki panował w powietrzu. Cienie drzew kładły się na mchu. Przystawał w miejscach, gdzie księżyc rzucał jasne plamy na polanę, sądząc, że ma przed sobą kałużę albo że gładka tafla rozlewisk miesza się z kolorem traw. Wszędzie panował głęboki spokój i Julian nie dostrzegł żadnego ze zwierząt, które przed chwilą wałęsały się w pobliżu zamku. Bór gęstniał, ciemności stawały się coraz głębsze. Powiało ciepłym podmuchem, pełnym oszałamiających zapachów. Potknął się o stos zwiędłych liści i przystanął wsparty o dąb, żeby chwilę wytchnąć.

Dotarłszy znowu do skraj lasu, zobaczył, jak wilk przemyka się wzdłuż płotu. Posłał za nim strzałę. Zwierzę zatrzymało się, obejrzało i pobiegło dalej. Biegło truchtem, nie oddalając

się zbyt od myśliwego, a kiedy Julian mierzył w nie, rzucało się do ucieczki. W ten sposób przebiegli bezkresną równinę, piaszczyste wzgórza i stanęli na wzniesieniu górującym nad sporą połącią kraju.

Wśród zrujnowanych, grobowców leżały płaskie głazy. Julian potykał się o kości umarłych; tu i tam sterczały spróchniałe krzyże, pochylone żałośnie. W szarawym mroku cmentarza poruszały się cienie; wyrosły z nich hieny, przerażone i dygocące. Dzwoniąc pazurami o płyty zbliżyły się do Juliana, obwachiwały mu szaty, rozdziawiały pyski i ukazywały dziąsła. Dobył szabli. Rozpierzchły się jednocześnie we wszystkich kierunkach i nie przerywając szybkiego i kulawego biegu znikły w tumanie kurzu.

W godzinę potem natrafił w wąwozie na rozszalałego byka, który nastawił rogi i grzebał z wściekłością piach. Julian wbił mu pikę w gardło. Pękła, jak gdyby zwierzę było z brązu; zamknął oczy czekając na śmierć. Kiedy je otworzył, byka już nie było.

Wtedy przytłoczył go wstyd. Wyższa moc łamała jego siłę, ale gdy chciał zawrócić do domu, znalazł się znowu w lesie. Przeszkadzały mu pnącze i kiedy rozcinał je szablą, łasica przemknęła mu nagle między nogami, pantera skoczyła mu przez ramię, a wąż owinał się dokoła jesionu.

W listowiu siedziała potworna kawka, wpatrując się w Juliana: w wielu miejscach zajaśniały wśród gałęzi światelka, tak jakby wszystkie gwiazdy z niebieskiego stropu spadły do lasu. Były to oczy zwierząt: dzikich kotów, wiewiórek, sów, papug i małp. Julian godził w nie strzałami: pierzaste więzły pośród liści i wyglądały jak białe motyle. Zaczął rzucać kamieniami; kamienie spadały na ziemię o nic nie zawadzając. Zaczął złorzeczyć, chciał walczyć, zionął przekleństwami, dusiła go wściekłość.

Pojawiły się wszystkie zwierzęta, jakie kiedykolwiek tropił, i zamknęły go ciasnym kręgiem.

Jedne przysiadły na zadzie, inne stały wyprostowane. Stał pośrodku, zdrętwiały z trwogi, niezdolny do jakiegokolwiek poruszenia. Trzeba mu było nadludzkiego wysiłku woli, żeby postąpić krok naprzód: wtedy ptaki, które siedziały na drzewach, rozwinęły skrzydła, a zwierzęta, co chodziły po ziemi, ruszyły; towarzyszyły mu wszystkie.

Na czele szły hieny, za nimi dzik i wilk. Z prawej strony byk kołysał głową; po lewej wąż czołgał się wśród traw, a pantera, gnąc grzbiet w kabłąk, posuwała się w długich, aksamitnych susach. Starał się iść jak najostrożniej – żeby ich nie rozdrażnić; widział, jak z głębi zarosli wyłaniały się lisy, żmije, szakale i niedźwiedzie.

Zaczął biec. Wąż syczał, pyski cuchnących bestii ociekały śliną. Dzik trącał kłami jego nogi, wilk włochatym pyskiem ocierał mu się o dłonie. Małpy szczypały go, wykrzywiając mordy, łasica płatała się pod stopami. Niedźwiedź machnięciem łapy zrzucił mu czapkę, pantera wypluła z pogardą strzałę, którą niosła w pysku.

Szyderstwo przebijało z podstępnych ruchów zwierząt, patrzyły na Juliana z ukosa, zdając się obmyślać zemstę; i oszołomiony brzęczeniem owadów, oślepiony skrzydłami ptaków, dusząc się wśród gorących oddechów, szedł jak ślepiec z rękami wyciągniętymi, z przymkniętymi powiekami i nawet nie miał siły krzyknąć: „łaski”.

W dali rozległo się pianie kura. Inne mu odpowiedziały. Wstawał dzień i za gajem pomarańcz zobaczył dach pałacu. Odetchnął z ulgą i spostrzegł, że tuż, tuż nad zbożem podlatują czerwone kuropatwy. Zdjął płaszcz i zarzucił na nie jak siatkę. Kiedy go podniósł, znalazł tylko jednego ptaka, od dawna zdechłego i gnijącego.

To rozczarowanie było sroższe od poprzednich. Znowu schwyciła go żądza mordy. W braku zwierząt powyrzynałby chętnie ludzi.

Wbiegł z tarasu na taras, uderzeniem pięści otworzył drzwi, ale kiedy był na schodach, obraz umiłowanej żony wzruszył mu serce. Na pewno śpi jeszcze, zrobi jej niespodziankę.

Zdjąwszy sandały, obrócił cicho klucz i wszedł.

Oprawne w ołów szybki przyciemniały nikły blask świtu. Julian zaplątał się w ubranie, porzucone na ziemi, trącił kredens, na którym stały jeszcze naczynia. „Pewno coś jadła” – pomyślał i błądząc w ciemnościach, które panowały w głębi komnaty, znalazł wreszcie łożo. Gdy oparł się o brzeg, żeby pocałować żonę, i nachylił się nad poduszką, gdzie spoczywała zwykle jej głowa, poczuł muśnięcie czyjejs brody. Cofnął się, myśląc, że stracił zmysły. Po chwili palce jego natrafiły na długie warkocze. Żeby przekonać się o pomyłce, zaczął wolno przesuwając dłoń po poduszce. Tym razem była to z pewnością broda: mężczyzna! Jakiś mężczyzna spał z jego żoną!...

Skoczył zadając z niepohamowaną wściekłością razy sztyletem, tupał, pienił się i wył jak dzikie zwierzę. Uspokoił się na chwilę. Ofiary z głębokimi ranami w sercach nawet nie drgnęły. Słuchał ich równomiernych rżżeń i w miarę, jak słabły, inny głos, towarzyszący im od początku, zaczął brać górę: wołanie pełne skargi, najpierw niepewne i przeciągłe, zbliżało się, nabierało siły, nabrzmiwało, stawało się bezlitosne; ogarnięty niewypowiedzianą trwogą poznał ryk wielkiego, czarnego jelenia.

Kiedy się obejrzał, zobaczył w drzwiach żonę stojącą ze światłem w ręku i wziął ją za zjawę.

Obudził ją hałas. Jednym rzutem oka pojęła wszystko i przerażona rzuciła w ucieczce pochodnię. Podniósł ją. Zobaczył przed sobą rodziców, leżących na wznak, z ranami w pierśsiach; twarze ich, pełne uroczystego spokoju, zdawały się kryć wieczystą tajemnicę.

Krew, ociekająca z ich bladych ciał, zrosiła pościel, rozlała się w kałużę na posadzce i zbryzgała krzyż z kości słoniowej, wiszący w alkwocie. W tej chwili promień słońca padł na czerwony witraż, oświetlił czerwone plamy, pomnożył je i rozrzucił po całej komnacie.

Julian podszedł do dwojga umarłych. Chciał wmówić w siebie, uwierzyć, że to tylko okropne złudzenie albo pomyłka, że istnieją czasami niewytłumaczone podobieństwa. Wreszcie, lekko nachylony, zaczął przyglądać się twarzy starca: między nie domkniętymi powiekami spostrzegł zgasłe źrenice, które sparzyły go jak ogień. Potem podszedł do posłania z drugiej strony i utkwiał wzrok w kobiecie. Swe włosy zasłaniały jej twarz. Wsunął rękę pod warkocze, podniósł głowę matki wpatrując się w nią i tak ją podtrzymując zeszywniałym ramieniem, przybliżył pochodnię. Krople ściekając z posłania spadały wolno na posadzkę.

Pod wieczór stanął przed żoną. Głosem innym niż zwykle nakazał jej przede wszystkim milczenie, zabronił jej zbliżyć się do siebie, nawet patrzeć jej nie było wolno, i pod groźbą wiecznego potępienia polecił wypełnić wszystkie rozkazy, które są nieodwołalne.

Pogrzeb odbędzie się według wskazówek, które napisał, i zostawił na klęczniku w pokoju umarłych. Przekazał jej pałac, lenników, wszystkie dobra, nie zatrzymując nawet ubrania, które miał na sobie, i sandałów porzuconych na schodach. Ma poddać się woli Bożej, która sprowadziła tę zbrodnię, i modlić się za jego duszę, ponieważ ód tej chwili przestał istnieć.

Umarłych pochowano z przepychem w kościele przy klasztorze odległym o trzy dni drogi. Z dała od wszystkich szedł za orszakiem mnich w opuszczonym kapturze i nikt nie śmiał do niego przemówić. Podczas mszy leżał krzyżem pośrodku kruchty z czołem w pyle. Widziano, że odszedł po pogrzebie w kierunku gór. Przystawał na drodze, oglądał się wiele razy, aż wreszcie znikł.

III

Poszedł w świat o żebraczym chlebie.

Wyciągał rękę do jeźdźców na drogach, zbliżał się na klęczkach do żniwiarzy albo czekał pokornie przed ogrodzeniami wiejskich obejść, twarz miał tak smutną, że nigdy nie odmawiano mu jałmużny.

Żeby upokorzyć się jeszcze bardziej, opowiadał swoje dzieje; wtedy wszyscy uciekali robiąc znak krzyża. W miasteczkach, które już raz nawiedził, ludzie zamykali przed nim drzwi, krzyczeli za nim obelgi, obrzucali go kamieniami. Najlitościwsi zostawiali na progu miskę i zamykali okiennice, nie chcąc patrzeć na, niego. Odtrącony przez wszystkich, unikał ludzi, jadł korzonki, rośliny, opadłe owoce i ślimaki, które znajdował na piaszczystych brzegach.

Czasami zza zbocza wyłaniały się pomieszane i stłoczone dachy, kamienne iglice, mosty, wieże, krzyżujące się ciemne uliczki, z których unosił się i docierał do jego uszu nieustanny gwar.

Potrzeba zmieszania się z ludźmi popychała go w kierunku miasta. Lecz obce twarze, hałas warsztatów, obojętne słowa mroziły mu serce. W dni świąteczne, kiedy lud już od świtu cieszył się dzwonami katedry, przyglądał się mieszkańcom. wychodzącym z domostw, tańcom na placach publicznych, strugom jablecznika tryskającym na skrzyżowaniach ulic, kobiercom z adamaszku rozłożonym przed siedzibami ksiąząt, a wieczorem stawał przy okienkach mieszkań parterowych, widział starców, jak zasiadali do długich stołów rodzinnych i sadzali sobie małe dzieci na kolanach; wtedy dusił go płacz i wracał na wieś.

Patrzył z miłością na żrebaki hasające po łąkach, ptaki w gniazdach, motyle odpoczywające na kwiatach; ale kiedy się zbliżał, uciekały, kryły się przerażone, ulatywały, śpiesząc, ile tylko miały sił.

Szukał samotności, ale wiatr szumiał mu w uszach jak rżenie w agonii; opadające lzy rosy przypominały mu inne, ciężkie krople. Każdego wieczoru słońce rozlewało krew wśród chmur: w snach każdej nocy powtarzała się jego zbrodnia. Zrobił sobie włosienicę nabijaną żelaznymi kolcami. Wdrapywał się klęcząc na każdy pagórek z kaplicą na szczycie. Ale straszne wspomnienie zaćmiewało bez litości wspaniałość ołtarzy, dręczyło go mimo umartwień i skruchy.

Nie buntował się przeciw Bogu, co przecież narzucił mu ten czyn, ale rozpaczał, że był w stanie go popełnić.

Czuł do siebie taką, odrazę, że narażał się na największe niebezpieczeństwa myśląc, iż w ten sposób zdoła uwolnić się na zawsze od siebie. Ratował paralityków z płonących domów, dzieci z głębi przepaści. Przepaść go wyrzucała, ogień go szczędził. Czas nie koił jego cierpień. Stawały się nie do zniesienia. Postanowił umrzeć.

Pewnego dnia, gdy siedząc nad źródłem pochylił się, aby zobaczyć, czy woda jest głęboka, ujrzał naprzeciw starca wychudłego, z białą brodą, o tak żalonym wyglądzie, iż nie mógł powstrzymać łez. Tamten także zapłakał. Nie poznając własnego odbicia, Julian przypomniał sobie niejasno, że widział już kiedyś tę twarz. Krzyknął. To był jego ojciec. I nie myślał więcej o samobójstwie.

Dźwigając tak ciężar wspomnienia przewędrował wiele krajów, aż przybył nad brzeg rzeki, gdzie porywisty nurt i mokradła, ciągnące się z obu stron, udaremniały przeprawę. Z dawien dawna nikt nie śmiał kierować się tym szlakiem.

Wśród trzciny sterczał dziób starej łodzi, do połowy osiadłej w mule. Oglądając ją Julian odkrył parę wiosła i przyszła mu myśl, aby oddać życie służbie dla bliźnich.

Najpierw zbudował na brzegu rodzaj drogi, która pozwoliłaby zejść do przystani; przy przesuwaniu olbrzymich głazów miażdżył sobie paznokcie, przenosił wielkie kamienie, opierając je o brzuch, brnąc w śliskim błocie; często był o krok od śmierci. Na koniec naprawił łódź szczątkami rozbitych statków oraz sklecił sobie lepiankę z gliny i pniaków.

Kiedy rozeszła się wieść o przewoźniku, napłynęli podróżni. Wołali go z drugiego brzegu, dawali znaki chustami; Julian pośpiesznie wskakiwał do łodzi. Była bardzo ciężka, przeładowywano ją bagażami i ciężarami, nie mówiąc już o juczych zwierzętach, które wierzgając ze strachu, utrudniały poruszenia. Za tę pracę nie żądał wynagrodzenia. Niektórzy dawali mu resztki żywności, wyciągnięte z dna worków, albo starą odzież tak zniszczoną, że nikt już nie chciał jej nosić. Nieokrzesani rzucali przekleństwa i głośno bluźnili.

Julian nie tracił spokoju. Odpowiadali obelgami.

Błogosławił ich.

Mały stół, niewygodny stołek, posłanie z suchych liści i trzy gliniane garnki stanowiły cały jego majątek. Dwie dziury w murze służyły za okna. Z jednej strony jałowe rozłogi i rozsiane gdzieś tam blade stawy rozpościerały się tak daleko, że wzrok się w nich gubił. Ogromna rzeka toczyła przed chatą zielonawe wody. Na wiosnę zgniłe opary unosiły się z mokrej ziemi, w czasie suszy porywisty wiatr podnosił i pędził tumany kurzu. Kurz przenikał wszędzie, trzeszczał między zębami i woda do picia robiła się błotnista. Później przylatywały roje komarów tnących bezustannie, brzęczących dniem i nocą. Potem chwytaly srogie mrozy, nadając przedmiotom twardość granitu i wzniewały nieposkromiony głód potraw mięsnych.

Były miesiące, w czasie których Julian nie widywał nikogo. Często zamykał oczy starając się wrócić pamięcią w lata młodości: jawił mu się dziedziniec zamkowy i charty przed ganikiem, służba w sali rycerskiej, a w altanie oplecionej winogrodem jasnowłosa młodzieniec pomiędzy starcem ubranym w futro i panią w wysokim czepcu. Nagle stawały przed nim dwa trupy. Rzucił się na posłanie i powtarzał z płaczem:

– Biedny ojczy! Biedna matko, biedna matko!

I zapadał w półsen, podczas którego dalej nawiedzały go żałobne zjawy.

Pewnej nocy wydało mu się we śnie, że słyszy wołanie. Natężył ucha, ale uchwycił tylko szum fal.

Ale ten sam głos powtórzył:

– Julianie!

Wołano z drugiego brzegu i to wydawało mu się niezwykle z powodu szerokości rzeki. Ktoś krzyknął po raz trzeci:

– Julianie!

Tym razem głos był wysoki i donośny, brzmiał jak dzwon kościelny. Zapaliwszy latarnię wyszedł z lepianki. Rozszalały huragan władał nocą. Panowały głębokie ciemności, przedarte w kilku miejscach białym błyskiem spiętrzonych fal. Po chwili wahania Julian odwiązał linę. Wody uspokoiły się natychmiast i łódź ślizgając się stuknęła o drugi brzeg, na którym czekał jakiś człowiek.

Był spowity w łachmany, miał twarz podobną do gipsowej maski i oczy czerwieniejsze niż rozpalone węgle. Przysunawszy latarnię, Julian zobaczył, że ciało nędzara pokrywa ohydny trąd, a jednak cała postać miała w sobie coś z majestatu królewskiego.

Gdy usiadł, łódź zanurzyła się bardzo głęboko, jakby przygnieciona wielkim ciężarem. Wstrząs przywrócił jej właściwe położenie i Julian zaczął wiosłować. Nachylał ciało, prężył ramiona i wyginając w tył nogi przechylał się, skręcając w pasie, dla nabrania nowego zama-

chu. Grad chłostał mu ręce, deszcz ściekał po plecach, wichur zapierał dech; zatrzymał się. Wtedy łódź zbczyła z drogi. Ale rozumiejąc, że idzie tu o sprawę wielkiej wagi, o rozkaz, którego słuchać należy, chwycił wiosła i łoskot dulek przerywał wycie burzy. Latarka płonęła na przodzie. Nocne ptaki w locie przesłaniały ją co chwila. Widział wciąż źrenice trędowatego, który stał w tyle, nieruchomy jak kolumna. I to trwało długo, bardzo długo.

Kiedy dotarli do lepianki, Julian zawarł drzwi; trędowaty przysiadł na stołku. Całun, którym się okrywał, zsunął mu się aż do bioder. Ramiona, piersi, chude ręce ginęły pod płatami łuszczących się krost. Głębokie bruzdy przeorały mu czoło. Zamiast nosa miał dziurę, jak szkielec. Z sinych warg wydobywał się oddech gęsty jak mgła i wstrętny.

– Jeść – powiedział.

Julian oddał mu wszystko, co posiadał: polec zjełczałej słoniny i skórki czarnego chleba.

Kiedy je pożarł – na stole, misce i trzonku noża zostały takie same plamy, jakie miał na ciele. Wtedy odezwał się znowu:

– Pić!

Julian poszukał dzbana. Kiedy wziął go do ręki, rozszedł się zapach, który uradował mu serce. Wino! Co za odkrycie! Ale trędowaty wyciągnął rękę i duszkiem, wychylił wszystko. Potem powiedział:

– Zimno mi!

Julian zapalił świeczką pęk suszonych paproci i położył go na środku izby. Trędowaty podszedł, żeby się ogrzać, i przykucnąwszy drżał cały, słabł.; oczy przestały mu błyszczeć, z wrzodów pociekło i ledwie dosłyszalnym, głosem szepnął:

– Gdzie łóżko?

Julian pomógł mu bez słowa dowlec się do posłania, ułożył i okrył żaglem.

Trędowaty jęczał. Kąciki ust podniosły się i odsłoniły zęby, szybki i charczący oddech podrzucał mu piersi, a gdy wypuszczał powietrze, brzuch zapadał mu się aż do kręgosłupa.

Wreszcie zamknął oczy...

– Tak jakbym lód miał w kościach, chodź do mnie...

I Julian, unosząc posłusznie żagla, położył się na suchych liściach tuż przy nim, przy jego boku.

Trędowaty obrócił głowę.

– Rozbierz się. Chcę mieć ciepło twojego ciała. Julian zrzucił odzież i nagi, jak w dniu narodzin, znów ułożył się na posłaniu. Czuł przy lędźwiach ciało trędowatego, zimniejsze niż wąż i chropowate jak pilnik.

Starał się dodać mu otuchy, ale trędowaty powiedział dysząc:

– O, umrę na pewno!... Przysuń się więcej, ogrzej mnie! Nie, nie rękami, całym ciałem.

Julian rozpostarł się na nim, otulił go sobą, jak mógł, i tak leżeli z ustami na ustach, z pierśią na piersi.

Wtedy trędowaty przycisnął go do siebie; oczy jego rozbłysły światłością gwiazd; włosy wydłużyły się jak promienie słońca; obłok kadzidła krążył nad ogniskiem, fale śpiewały. Rozkosz tryskająca jak z rogu obfitości i radość nadludzka zalały jak powódź duszę omdlałego Juliana. A ten, którego ramiona wciąż go obejmowały, rósł, rósł, głową i stopami dotykał już przeciwległych ścian lepianki.

Dach uleciał i rozpostarł się firmament. Julian wstępował w błękitne przestrzenie, wpatrzony w oblicze Pana Naszego Jezusa, który unosił go do nieba.

I tu się kończy legenda o świętym Julianie Szpitalniku, opowiedziana prawie tak, jak ja widziałem na witrażu kościoła w moich stronach rodzinnych.